

Zielone Świątki w Puszczy Białowieskiej

Z wycieczką prasową — na chrzciny żubrząt

Poskapiło słońce pieczęty swych promieni, zbiegł w chłodnych murach miasta, braci dziennikarskiej, która na miłe zaproszenie Dyrektora Lasów Państwowych, gwaro i tłumnie wyruszyła na Zielone Świątki, z wycieczką prasową do Białowieży. Mrugnęło raz filuternie złotem oczkiem, przed samym zachodem w niedzielę świąteczną, jakby się ucieszyło, że trzy młode żubrzyce ochrzczono już zgodnie z prawami lasu, pogańskimi imionami: Biruli, Maji i Burzy. Uśmiechnęło się zalotnie i uwodzicielsko w poniedziałek zrana i zaraz skryło się za chmury, żeby nie psuć warszawskich gości nadmiarem pięknych wrażeń.

Ostry drobny deszczyk przywitał nas nieprzyjawnym chłodem w Niedzielę o 6-ej rano, gdyśmy senni jeszcze i zmęczeni nattokiem, wskutek zbyt licznych widać amatorów wycieczki, opuszczali wagon na stacji Białowieża. Koło godz. 9 ulitował się jednak nad zrozpaczonymi mieszczuchami i chociaż szaro było przez dzień cały, lecz przynajmniej sucho.

Carski styl

Po rozlokowaniu się i umyciu, obfite śniadanie w pałacu, ongi carskim, dziś reprezentacyjnym obszernym i wygodnym, lecz zewnętrznie szpetnym, swym koszarowym, carsko-kazaniowym stylem architektury z epoki Aleksandra III. Ten pomnik zaborców odcina się jaskrawo, brudną czerwienią cegieł i mnogą ilością krepich wieżyczek od cudnej, wiosennej zieleni pięknego, falistego parku. Jedno w nim jest miłe, to bocienie gniazdo, od szeregu już lat tkwiące wiecznie u szczytu pałacowego dachu, gniazdo, w którym jest już ruch i młode życie.

Po śniadaniu rozwija się długi wąz charakterystyczny, małych wózków, wymoszczonych słomą, zaprzężonych w pojedynczego konia z miedziową „duhą”. Po dwie osoby mieści się tylko na każdym wózek. Dodają sobie nawzajem otuchy na nieprawdopodobnie wyboistej drodze wiodącej do Parku Narodowego. Cały korowód podrygujących, skaczących i trzęsących się majorettek. Gruda, zaskorupała w czasie niedawnej suszy nie oszczędza nikogo, nie zważa ani na pleć, ani na wiek, czy piastowane godności. Trochę przy tem krzyków, pojeżdżani, lecz najczęściej śmiechu. Mijamy bramę Parku Narodowego i z punktu milnie gwar, bezwiednie ogarnia nas uczucie nabożnego skupienia.

Żywe pomniki przeszłości

Świadomość, że tu nie jest tknięte ręką ludzką, że wszystko jest tak, jak było już nie przed laty, lecz przed wiekami, czyni z tego żywego muzeum przyrody pierwotnej, rodzaj świątyni, gdzie człowiek z całą jego techniką, rozumem, kulturą, z całą wiedzą, a nawet geniuszem wydaje się małym, nie znaczącym pyłkiem. Bo oto otacza nas tłum niebotycznych, wyniosłych, idealnym piorunem strzelających w górę sosn i świerków. Tej lotności kolumn żywych pni, tego podniebnego ich pędu, nie da się porównać z żadnym stylem architektury ludzkiej. Takie arcydzieła mógł powołać do życia jedynie Stwórca wszechrzeczy.

Stajemy w obliczu jednego z licznych olbrzymów puszczańskich. Świerk ten ma 47 mtr. wzrostu, a liczy sobie 200 lat z ezubkiem. Pomimo, iż świerki są raczej nietrwałym drzewem i rzadko dożywają tego wieku, ten moczny jest jeszcze i krępki, koroną swą władczym dominuje ponad otoczeniem. A otoczenie to mało co jest młodsze, wiek ich waha się między 150 a 190 laty. Na pierwszy rzut oka nie zdajemy sobie sprawy z grubości pni. Przewodnik nasz po Parku, niestrudzony opiekun Jego prof. Karpiński, zwraca nam dopiero uwagę, że trzeba aż trzech par ramion, żeby objąć pień

najgrubszego okazu, na wysokości piersi. Zresztą o wicku świerka czy sosny nie zawsze decyduje grubość pnia, tylko wysokość i rozłożystość czapy, czyli górnych rozgałęzień. Spiczasta czapa oznacza młodszy okaz, okrągła starszy, poza tem rodzaj kory jest wskaźnikiem wieku. Oglądamy niebotyczne sosny o korze złotej i gładkiej jak skóra. Jak cudnie musi wyglądać ten bór sośnowy w promieniach zachodzącego słońca, mieni się zapewne, jak drogocenny brokat, jak kolekcja złotych beret Ducha Puszczy.

Cały Park mieści się na 46 km. kwadr. puszczy. Stanowi on zupełną mozaikę gleb i zadrzewień, gdyż każdy gatunek „gruntu”, ma swój odpowiednik w zadrzewieniu. Na obszarze tym mieści się 7 różnych grądów, poprzękatych ze sobą, jak szachownica. Miejscami las jest od dołu nagi, bez poszycia, a nawet bez runa. Ziemię pokrywa tylko gruba warstwa igliwia, po której stąpa się jak po wschodnim dywanie. O kilka kroków dalej, do smukłych sosn, przylgają się świerki, zawsze nieco niższe. Przejżdżamy parę stajni i trafiamy na orgię zieleni, uwarstwionej conajmniej w 5 pięter, poczynając od mechów, przez smuklejsze nieco trawy i paprocie, dalej drobne krzaczki i krzewinki, większe krzewy, podrosty, okap z jesionów, brzoź czy grabów, lub słabszych dębeków, a dopiero

nad nimi strzeliste czuby, jak wieżeczki, tych drzew, które jak sosna pędzą zawsze po junaaku w górę, poprzez wszystkie przeszkody, ku słońcu i otwartej przestrzeni. Gdzieś niedaleko leżą zwaly drzew, nietknięte, czasem fantastycznie zahaczone wierzchołkiem o silniejszego młodszego sąsiada. Przeważnie jest to żniwo trawy powietrznej z r. 1928, gdy w ciągu jednego kwadransa padło w puszczy 500.000 mtr. drzew.

Audjencja u Króla Puszczy

Niekwestionowanym, jedynym w swoim rodzaju królem Puszczy jest staruszek dąb, zwany „Dębem Jagiell”. Wśród okolicznego ludu z pokolenia w pokolenie przekazywana jest legenda o tem, iż Jagiełło sprawował sądy w jego cieniu. Dziś ogrodzony barierką trwa, nie potrzebując nawet podpory, a potężne konary pokryła obcena wiosna obfitem ulisciem. U stóp jego tabliczka, rodzaj paszportu. Czytamy na niej: wiek lat 600, wysokość 37 mtr., średnica pnia 1.68, obwód mtr. 5.30, masa drzewna 35 mtr. sześć. Prowizorycznie, obliczenie wykazuje, że możnaby zeń otrzymać 50 mtr. sz. drzewa opałowego i 11 mtr. sześć. Najwyższego gatunku masy drzewnej, której 1 mtr. pnia się dziś 450 zł. Oprócz więc wartości zabytkowej, taki okaz to cały kapitał. Równych mu niema w puszczy, ale młodzików do lat 400 jest sporo.

Obok królewskiego dębu leży ulamana przez burzę gałąź. Drobniak ten ma tylko 29 mtr. długości i jeden człowiek nie objąłby jej ramionami.

Przeszły koło niego burze dziejowe, wojny, pożogi, mordy, całe zębate koło historii sześciu wieków przetoczyło się u jego stóp, a dąb ten trwa i żyje... a nieogładając się na żadne nowoczesne formy rządów — króluje i nikt nie jest mocen własczyć go z tej jednostości i z beśria absolutnej władzy. Czego on nie widział? Ile pamięta? Czemże wobec niego są te małe, dwunożne mrówki, drepejące u jego stóp i zadzierające z trudem głowy, żeby dojrzeć jego koronę.

Profesor Karpiński rozmawiając w tej księdze, wszelkiej mądrości leśnej, wyjaśnia krótko, zwięźle, lecz jakże treściwie różnice gleb i właściwości drzewostanów, z których każdy ma tu w Parku najidealniejszą dla siebie warunki, dlatego jest tak bujny i to stanowi bezcenną wartość tego fragmentu pierwoboru, posiadającego wszystkie bez wyjątku odmiany i kombinacje drzewostanów, rozrzuconych po całej puszczy. W obecnym, raczej oschłym, jałowem pod względem zapadu dla jakiejś idei pokoleniu, ten drobny głęboko uczony profesor, przemawiający z iskrą płomiennego uwielbienia na tematy nieprzebranych skarbów puszczy, porwa słuchaczy, trafia im do serca...

Opuszczając już Park Narodowy, zatrzymujemy się raz jeszcze w najwielkością kwartale, gdzie droga na usypanej grobli można się jedynie przedostać. Po obu stronach drogi grzęzawiska, mokradła, bagniska przepiecione strumykami i okienkami stojącej wody. Uroczysko z bajki! Pchno zwalów opłatanych bujną roślinnością. Zawity gasecz, legowisko wilków i rysi. Najbujniejsza fantazja malarska nie potrafiłaby oddać dzikiej prymitywności tego krajobrazu, spątanego przez wieki. Zda się, iż z każdego krzaka typic ku nam zielonemi ślepiami wilkołak, lecz dostępu do drogi broni wal cudnych olbrzymich, pachnących konwali.

Żubrze benjaminki

Opieci balsamizmem powietrzem leśnym i zachwytem, powracamy do pałacu pokrzepić się obiadem, po-

czem wyjazd do rezerwatu żubrzo, na uroczysty akt wpisania do księgi imion trzech żubrzych noworodków, które zaokrągliły łeb żubrów w Białowieży do cyfry 14-tu. Oglądamy je z wyżyn tarasu wzniesionego na balach. Bahaterki uroczystości nie są bynajmniej przejęte ważnością chwili. Wyglądają zdala jak rude cieleta, brykają wesoło, tuląc się co chwila do mlekodajnego łona matek. Ojciec rodu, potężny Morus, nie dają się znieść gałęzią, kiwną nonszalancie ogonem w stronę stołecznej prasy i poszedł w głąb rezerwatu, widocznie nie jest łasy na hojdy ludzkie. Na zakończenie dnia zwiedzamy świeżo otwarte Laboratorium Biologiczne i ciekawe Muzeum Fauny Białowieskiej, od maleńkiego kornika, toczącego drwno, do żubrów.

Nazajutrz kilka aut przewozi nas do Stoczka, stacji miejscowej kolejki, skąd wyruszamy do Hajnowki, oglądać największe tartaki w Polsce. Przypada mi w udziale ministerjalny 120 konny Packard, stwierdzam więc, że dystans jest stanowczo za krótki.

Cała puszcza oglądana z umajonych zieleni wagoników kolejki, którą przebywamy 85 km., szerokim łukiem obejdzając całą niemal granicę lasów, wywiera potężne wrażenie swym, zda się bezkresnym obszarem, liczącym w całości 1.200 km. kwadr. Pomimo mozaikowej różnorodności drzewostanów i mieniących się różnem odzieniami grup zieleni, w zwartej ścianie lasów, od seledynu świeżych odrostków świerkowych, stojących przedziwnie proporcjonalnie i kształtnie ta drzewa, w wesołą, wiosenną sukienkę, aż do głębokich tonów dębowych liści — krajobraz puszczy jest, a la longue, trochę nużący i monotony. Sapanie kolejki i dźwięki towarzyszącej nam orkiestry piosną dzikiego zwierza, ukrytego gdzieś w głbi kniei. Wyobraźnia każe nam doszukiwać się kozła, sarny, lub jelenia w każdej rudej plamie, migającej w gęstwinie. Lecz w najlepszym wypadku, okazuje się, że to kundle z siedniej gajówki. Od czasu do czasu przejaśnia się horyzont, ukazując oczom naszym bolesne rany puszczy, zadane niszczyteliskim toporem Niemców, w okresie wielkiej wojny.

Hajnowka! Tu już natura idzie w kąt, ustępuje miejsca technice przeróbki drzewa. Olbrzymia polana, zastawiona potężnymi halami, gdzie się przeciera masę drzewną. Kilometry chyba systematycznie poukładanych desek, znaczących identycznie A. L. orzeł P. Jest to największa przetwórcza drewna w Polsce, i jedna z największych w Europie. Pis jej wymaga jednak fachowego pióra. Zwiędzamy szkołę Przemysłu Drzewnego, skromną, dopiero widać w stadium początkowym. Cała osada, prawdopodobnie ze względu na wyłączenie drewnianej domostwa, ma trochę obcy charakter, przypomina osady wschodniego sąsiada. Tartak zatrudnia 1.400 robotników, nie dziwi więc nas olbrzymie wymiary budującego się Domu Ludowego.

Wesoły obiad, przy dźwiękach orkiestry w sali Klubu Urzędników, przesłanie udekorowanej zieleni, wytwarzania nastroju rozbowionego. Prawdziwa majówka rozchłana i roztańczona w atmosferze wielkiej gościnności i serdeczności gospodarzy i organizatorów wycieczki. Powrót kolejką do Białowieży i żegnani fanfara na stacji, powracamy do stolicy, unosząc przemile wspomnienia, snopy konwali i hubinów i serca pełne dumy, że nasza Polska ma takie cuda przyrody i takie nieprzebrane bogactwa naturalne.

Emzet.

MEBLE

tapezany — własnego wyrobu. Fabr. skład mebli: Cieszkowski Plac 1rzech Krzyży 12, tel. 9-06 80. Firma chrześcijańska. Ceny przystępne.

Pearl S. Buck

SYNOWIE

Powieść

Wywiadowcy pochowali swoje żołnierskie mundury, pozostali zaś w starym cywilnym odzieniu, a Wang Tygrys dał im pieniędzy na kupno kaftanów. Pożegnawszy wodza zeszli z góry i udali się do okolicznych wsi, gdzie nabyli w wioskowych lombardach zniszczone ubrania, zastawiane tam przez zubożałych chłopów, którzy potem nie mają możliwości ich wykupić. Niepodobni do żołnierzy łazikowali od tej pory po całej okolicy, wysiadali po szynkach, przy stołach gry, zatrzymywali się przed sklepami i przysłuchiwali się bacznie rozmowom. Po dłuższej nieobecności wrócili na górę i zdali sprawozdanie Wangowi. Mówili mu to samo, co szynkarz, że lud nienawidzi herszta rozbójników Lamparta, bowiem nakłada na nich coraz większy haracz, a jeżeli go nie wypłacą, to plądruje domy i zabiera zbiory. Lampart na swoje usprawiedliwienie na zawsze gotową odpowiedź o kosztach utrzymania licznej hordy wojowników, o tem, że on i jego ludzie bronią całej prowincji przed obcymi najeźdźcami, musi więc zato otrzymać jakąś nagrodę. Banda jego wraza z każdym rokiem, bo w całym kraju każdy leniuch i zbrodniarz ucieka do obozu na górze Podwójnego Smoka i zaciąga się do szeregów Lamparta. Dzielnymi i odważnymi wiatają tam chętnie: słabych i tchórzów zatrzymywano w charakterze parobków. Było tam i kilka kobiet, odważ-

54)

nych wdów, którym było wszystko jedno, co o nich mówią ludzie, były i żony zbójników, były też i branki trzymane w obozie dla uciechy mężczyzn.

Chociaż Lampart istotnie bronił okupowanego kraju, lud go nienawidził i niechętnie składał mu daniny. Jednakże chcąc — nie chcąc płacić musieli mu wszyscy, bo nie mieli broni. Dawniej mogli się byli zbuntować i pójść na niego z widłami, kosami, nożami i tym podobnymi narzędziami, ale dziś na nichby się to nie zdało, rozbójnicy bowiem uzbrojeni byli w zamorskie karabiny; nie też nie mogli wskórać męstwo, ani zaciekałość wobec takiej błyskawicznej śmierci.

Gdy Wang Tygrys zanatywał szpiegów, ilu też ludzi miał Lampart, otrzymywał od nich sprzeczne odpowiedzi, bo jedni słyszeli, że pięciuset, inni mówili o dwóch i trzech tysiącach, a jeszcze inni o dziesięciu i więcej. Prawdy dość nie mógł, a wiedział tylko jedno, że Lampart miał znacznie więcej, niż on ludzi. Dało mu to wiele do myślenia, rozumiał, że musi uciec się do podstępów i że trzeba będzie zrobić użytek z broni dopiero w ostatniej chwili, a dopóki się da, należy unikać tej ostateczności. Tak rozmyślał sobie słuchając opowieści szpiegów. Pozwalał im mówić swobodnie, wiedział bowiem, że prostacy najwięcej mówią wtedy, gdy nie zdają sobie sprawy, że składają cenne zeznania. I właśnie ów drab, co lubił kawały, a dowódcę zwał Tygrysem czarnobrewym, opowiedział coś bardzo ciekawego.

— Co do mnie, to jestem taki śmiały, że się zapędziłem aż do wielkiego miasta. I tam też się boję. Co roku na święta Lampart nakłada haracz, i kupcy muszą mu oddawać masę srebra, bo inaczej powiada, że napadnie na miasto. A ja powiedziałem tak do tego, co mi to mówić, a był to sprzedawca nerek wieprzowych, najlepszych, jakie w życiu jadłem — oni tu mają, ka-

pitanie, doskonałe świnie! Więć mu powiedziałam tak: „A dlaczegoż to wasz mandaryn nie wysła swoich żołnierzy na pomoc?” — a ten od nerek wieprzowych powiada, — dobry chłop, dodał mi jeszcze kawałek nerki, — „Nasz mandaryn siedzi po uszy w opium i drzy przed własnym cieniem, a generał, którego wynajął do pomocy, nigdy nie był na wojnie. Ten generał to śmieszny, nadęty człowiek, co nie umie się obchodzić z karabinem. Bardziej dba o to, jaką zupę dostanie na obiad, aniżeli ci się z nami stanie. Mandaryn znow boi się wszystkich i przepłaca strażników, bo nie jest pewny, czy go nie zdradzą. Wyrzuci pieniądze, jak starą herbacę, a trzęsie się, gdy wymówię przy nim imię Lamparta. Jeczy i sklamrze, ale palcem nie ruszy i płaci coraz to większe podatki, aby tylko nie widzieć Lamparta na oczy”. Tak mi mówił handlarz, a gdy zjadłem obiad poszedłem dalej i zagabnąłem żebra, co siedział na stołcu i wybierał wszy z łachmanów. To stary wyga. Przez całe życie włóczył się po ulicach, więc wie niejedno. A jaki sprytny... Zjada własne wszy. Dobrze się odżywia, daje słowo. Tyle tego ma... Gadaliśmy o tem i owem, wreszcie zaczęliśmy mówić o mandarynie. Zebrał mówi, że stary mandaryn chętnieby w tym roku rozprawił się z Lampartem, bo jego przełożeni niezadowoleni są z niego, już się dowiedzieli, że pozwala rządzić rozbójnikowi swoją prowincją, a tacy co czytają na miejsce mandaryna składają skargi do jego władzy. Gdyby go wyrzuceno, to się znajdzie ze dwunastu następców, bo tutejszy okręg bardzo jest żyzny. Tyle, że naród obawia się nowej wojny. Ludziska mówią tak: „Odkarmiliśmy starego wilka, obłaskawiliśmy go, już nie jest taki srogi jak dawniej, a gdy przyjdzie nowy z rozdzianą paszczą, trzeba będzie go na nowo obłaskawić...”

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.69 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.59 (miedzyzastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefon: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz. Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyzanka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-ej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy. a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.). a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiad.

Wydział Ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.